

## **Królestwo Trollandii**

**Nina Zarzycka**

**Królestwo Trollandii**

**Athena 2020**

**Książkę dedykuję moim ukochanym Wnuczętom**

**Matiemu, Oliwci, Maxikowi i Majusi**

„Miłość to tworzywo, z którego możemy modelować najbardziej wyjątkowe i piękne sytuacje. Wystarczy tylko kochać.”

Nina Zarzycka

© Wydawnictwo Athena  
Oleśnica

Wydanie II - 2020

ISBN 978-3-9822508-3-0

## Rozdział I - Wypadek

**H**istorię tę zna wielu ludzi, tych którzy byli na miejscu zdarzenia i tych którzy o niej czytali, więc być może słyszeliście o niej.

Nie wiecie jednak, co tak naprawdę wówczas się wydarzyło i o tym chcę wam opowiedzieć.

Mateusz, Max, Oliwia i Maja mieszkali w małym, spokojnym i atrakcyjnie położonym miasteczku Bretten, w Badenii- Wittenbergii.

Od kiedy pamiętają było tam wiele pięknych i ciekawych miejsc.

Rynek, nad którym pochylały się stare, nawet ponad dwustuletnie stylowe kamienice tonące w czerwonych kwiatach, wąskie uliczki, gdzie w witrynach maleńkich sklepików (które, aż uśmiechały się do dzieci), podziwiać można było ręcznie wykonane lalki, maskotki, klocki, pociągi i mnóstwo innych cudownych rzeczy, z których zawsze jakąś dostawali od swoich matek.

W słoneczne dni Rynek tętnił życiem wyjątkowo. W ogródkach kawiarenek i cukierni było gwarno i wesoło, a unoszące się zapachy tortów, ciast, ciasteczek, ulubionych przez dzieci precli i lodów, przyjemnie łaskotały nozdrza, zapraszając w swoje progi.

Po wybrukowanym Rynku rodzice wozili swoje pociechy na ciężkich, drewnianych, połączonych łańcuchami i osadzonych na kamiennych kołach rzeźbionych psach, które skrzypiały i mocno stukwały o bruk. Trzeba było nie lada siły, żeby powozić taką czwórkę dzieci, dla których te przejażdżki każdorazowo były ogromną frajdą.

Należy tu wspomnieć, że cała czwórka doskonale znała historię o bohaterskim psie, którego symbolem były również psy do przejażdżek po Rynku.

Wiąże się ona z miastem Bretten, które po raz pierwszy jako Villa Bretheim wspomniane było już w dokumentach pochodzących z 767 roku.

W średniowieczu miasto miało nawet prawo bicia monet, a w XV wieku posiadało cztery rynki.

W roku 1504 Bretten skutecznie ochroniło się w czasie oblężenia i z tej też okazji organizowany jest tam festyn Piotra i Pawła.

Gdy w oblężonym mieście kończyły się już zapasy żywności i nie było żadnej możliwości jej dostarczenia, co zwiastowało nieuchronną klęskę, jeden z rajców wpadł na genialny pomysł.

Poradził, by karmić resztkami żywności psa, utuczyć go i potem podrzucić przed bramę.

Tak też uczyniono, a wrogowie obserwując tak dobrze wyglądające zwierzę uznali,

że głodem miasta nie wezmą i odstąpili od oblężenia.

Tyle tylko, że wcześniej dając upust swojej złości okaleczyli psa, ucinając mu ogon. Historia o psie z Bretten w formie drukowanej po raz pierwszy pojawiła się 200 lat temu, w 1880 roku mieszkańcy wystawili mu pomnik, a teraz jest on obecny też na tablicach, herbach, pocztówkach, pamiątkach i reklamach.

Dzieci tak bardzo lubiły słuchać historii o odważnym psie, że z tym samym zapałem poznały historię swojego miasta, które uwielbiały i z którego były bardzo dumne.

Siedząc każde na swoim psie z uśmiechem rozglądali się podziwiając piękny Rynek, gdzie wokół na małych klombach i w donicach kwitło mnóstwo wszelkiego kwiecia, którego intensywny zapach pomieszany z aromatem smakołyków, dawał ten jeden jedyny, niespotykany nigdzie indziej zapach szczęścia i ukojenia.

Rynek ozdabiały zabytkowe fontanny, przy których dzieci spędzały wiele czasu, usiłując złapać do rąk jedną ze złotych rybek.

Jednak było jeszcze coś bardziej wyjątkowego w ich miasteczku. Czekali na to przez cały rok. To właśnie słynne obchody, nawiązujące do historii miasta - coroczny Festyn Piotra i Pawła, znany dzieciom również z opowiadań o losach Bretten. Organizowany na przełomie czerwca i lipca jest najstarszym i jednym z największych, festynem ludowym w południowo- zachodnich Niemczech i na świecie.

Dzieci szalały z radości. Bretten na cztery dni zamieniało się w średniowieczne miasto, w którym życie toczyło się tak jak przed wiekami.

Do tego niewielkiego, z niespełna czterdziestoma tysiącami mieszkańców miasteczka, zjeżdżało około stukilkudziesięciu tysięcy gości.

Ruch w centrum i na wielu ulicach był dla wszelkich pojazdów wstrzymany, a poruszać się ulicami można było tylko pieszo albo...konno.

Mieszkańcy przywdziewali piękne stroje pochodzące z dawnych czasów i przypominające minione epoki.

Byli więc chłopci, żebracy, mieszczanie, kupcy, arystokraci w wytwornych strojach, rzemieślnicy, żołnierze i rycerze. Można też było spotkać mnichów, zakonnice, żebraków i trefnisiów, chłopów i gospodarzy.

Rzemieślnicy ustawiali swoje warsztaty, gospodarze zagrody ze zwierzętami, budowano osady, a gospody, karczmy i wyszynki oferowały potrawy i napitki, które nadal przyrządzane są według receptur z innych epok, i których nigdzie indziej nie da się kupić.

Na wielu straganach można było zakupić wiele wspaniałych pamiątek, ale także

i smakołyków, których również próżno szukać w sklepach.

Dzieci uwielbiały podplomyki, pieczone mięsiwa, czy prażone orzechy przygotowane na wiele sposobów. Najbardziej lubili oczywiście te mocno cukrowane.

Festyn rozpoczynała barwna parada, w której uczestniczyli mieszkańcy Bretten, innych regionów Niemiec, a także wielu zagranicznych gości.

Każda z grup starała się wypaść jak najbardziej okazale, dlatego też dominowało ogromne bogactwo strojów i historycznych akcesoriów.

W paradzie jechały wozy, prowadzono bydło, muzykanci grali dawną muzykę, a żebracy prosili o grosz.

Dzieci z dumą wsiadały do małego, drewnianego wozu ciągniętego przez rodziców. W swoich strojach ze zgrzebnego lnu, w prostych sandałach, wykonanych na wzór tych pradawnych wyglądali rzeczywiście jak z innej epoki pomimo tego, że był to rok 2011.

Oczywiście w paradzie nie mogło zabraknąć psów, które szczekając i machając ogonami, asystowały niesionej figurze psa- legendy.

Szczególnie efektownie wyglądali konni rycerze w zbrojach i mężczyźni tańczący z chorągwiami. Nie zbrakło także tancerek, żonglerów i kuglarzy. Na oczach publiczności toczono walki rycerzy na kopie i miecze. Dzieci przepadały za oglądaniem walk rycerskich na prawdziwe wielkie i ciężkie miecze i zgodnie obiecywali sobie, że jak tylko trochę podrosną to nauczą się fechtunku.

Wszystko było proste, szorstkie, zwyczajne, ale jakże piękne i pouczające. Na samym Rynku odbywało się wiele występów, na które dzieci również czekały. Dawne pieśni śpiewane przy akompaniamencie zabytkowych instrumentów poruszały serca wszystkich uczestników Festynu.

Po przeciwnej stronie Rynku, w nowoczesnej już atmosferze można było bawić się na karuzelach, jeździć na autkach, zjeżdżalniach i korzystać z jeszcze wielu atrakcji, w przygotowanym na te dni Parku Zabaw.

Dobrze mieszkało się w Bretten, gdzie wszystko – można by powiedzieć – było tak akurat.

Zimą, gdy wszędzie szalały śnieżyce i zamiecie śnieżne, tutaj na trawnikach rosły stokrotki. Temperatura była wprawdzie niższa, ale śniegu akurat tyle, żeby dzieci mogły ulepić bałwana i przejechać się na sankach, a cała zima ze śniegiem trwała zaledwie kilka dni.

Latem schronienie przed upalnym słońcem dawały korony pięknych drzew i cienie

kamienic z dumą spoglądające na rozrastające się z roku na rok miasto. Życie w Bretten płynęło spokojnie, ale nie nudno, natomiast statecznie, bez szaleństwa wielkomiejskiego hałasu.

Zmieniające się mody, napływ wszelkich nowości i tego miasta nie ominęły. Młode pokolenie i nie tylko, zachwycone coraz to nowocześniejszymi odkryciami techniki, głównie elektronicznej, albo myślało o tym jak szybko uciec do dużego miasta, albo owładnięte mocą wszechmogącego internetu, zupełnie odcinało się od ludzi i realnego świata.

I tak wiele dzieci dorastając pomiędzy smartphone a szkołą, bez zabaw z rówieśnikami na podwórku, stawało się coraz bardziej samotnymi, a co za tym idzie egoistycznymi i samolubnymi ludźmi, skupionymi tylko i wyłącznie na samych sobie.

Starszych ludzi martwiły takie zmiany, ale ich głosu już prawie nikt nie chciał słuchać.

Tak wolnym krokiem z roku na rok odchodziły do lamusa te piękne czasy kiedy to ludzie spotykali się ze sobą, rozmawiali, śmiali wspólnie, pomagali sobie w potrzebie i wspierali się wzajemnie.

Wszelkie osiągnięcia i postęp naukowy to cenna i ważna sprawa, ale ludzie zachłysnęli się tak mocno tymi nowościami, że dali się im pochłonąć bez reszty, nie zostawiając miejsca na prawdziwe życie.

Rodzice zaczęli wpajać dorastającym dzieciom, że najważniejsza w życiu jest kariera, wysoka pozycja społeczna i zdobycie wielkiego majątku, a przyjaźń, współczucie, słuchanie zdania innych, to tylko przejaw słabości i braku wiary w siebie, więc należy unikać takich uczuć.

Niewiele już było takich młodych rodzin, które podtrzymywały tradycje i uczyły swoje pociechy, że najcenniejsze dla człowieka, to pozostać szlachetnym, dobrym, szczerym, odpowiedzialnym i wrażliwym na krzywdę innych ludzi, a także pełnym wiary w drugiego człowieka, bo to właśnie stanowi podstawy do osiągnięcia postawionych celów, daje wewnętrzną siłę, energię i pozwala pokonywać przeszkody stojące na drodze do realizacji marzeń.

Niewielu też potrafiło nauczyć, że nie dobra materialne, a miłość, szczęście i poczucie bezpieczeństwa, to wartości największe i to dopiero na nich należy budować przyszłość i osiągać niezbędne dobra.

I tak życie pędziło do przodu niszcząc wokół siebie zbyt wiele, a ludzie nie potrafili się już zatrzymać, ani na chwilę.

Mati z braciszkiem i kuzynkami często bawili się w parku, gdzie zbierały ich mamy. Karolina i Agnieszka były siostrami i bardzo się kochały.

Widowały się codziennie, dzięki czemu ich dzieci były ze sobą zżyte i łączyła je

ogromna więź.

Dzieciaki wychowywane w wielkiej miłości i z pełnym oddaniem rodziców, rosły szczęśliwe w dobrym, tradycyjnym domu, mając wpajane zasady, nauczone odróżniania dobra od zła i znające wartości jakie powinny dominować w ich życiu. Nie sprawiali rodzicom większych kłopotów, chociaż lubili porozrabiać, a ich pomysły czasami bywały zaskakujące.

Tego wiosennego dnia Mati, Maxik i Oliwcia biegali po parku bawiąc się w berka. Majusia dopiero uczyła się chodzić, więc siedziała teraz w wózekczku i przyglądała się rodzeństwu machając rączkami, i próbując wydostać się z niego, zupełnie niezainteresowana swoimi zabawkami.

Mamy siedziały na ławce i co jakiś czas przypominały dzieciom, żeby nie odchodzili zbyt daleko, ponieważ na ulicy przy parku trwały prace drogowe i ziemne, w związku z czym znajdowało się tam wiele ogromnych maszyn i urządzeń budowlanych. Dzieci wiedziały jednak, że nie wolno im się tam zbliżać, a poza tym nawet nie zamierzały tego robić, gdyż bały się samego widoku tych maszyn, a jeszcze bardziej hałasu jaki robiły te wszystkie urządzenia. Dobiegali więc tylko do bezpiecznych granic parku.

Mati coraz częściej spoglądał w stronę żywo zainteresowanej ich zabawą Majusi. Podszedł w końcu do siedzących mamy i cioci, i zapytał:

- Czy mógłbym wziąć Maję bo ona, aż z wózka chce wyskoczyć, tak jej się podoba nasza zabawa?
- Mati – odpowiedziała mama Mai - ja specjalnie trzymam ją jeszcze w wózku, żebyście mogli się pobawić i pobiegać, a jak ty będziesz bawił się w berka z wózkiem? Majusia dołączy do was, jak już usiądziecie na trawniku. Tak Majuniu? Jeszcze troszkę tu z nami posiedzisz?- zapytała Maję
- Daaaaa! - zawołała zniecierpliwiona siedzeniem w wózku Maja.
- Dam radę, mam pomysł - powiedział Mati i pchając przed sobą wózek już biegł w stronę Maluchów.

Tak nazywano Oliwię i Maxa pomiędzy którymi były tylko dwa tygodnie różnicy wiekowej.

No i dzieci nadal biegały, śmiały się i przekomarzały, doskonale się bawiąc.

W pewnym momencie Mati zamiast gonić Maluchy zatrzymał się, przyciągnął do siebie wózek z Mają i zdziwionym wzrokiem spoglądał na trawnik.

- Maxi, Oliwciu, chodźcie tu szybko, coś wam pokażę! - zawołał.

Maluchy nie zwracały uwagi na jego wołanie, przeczuwając że to podstęp, aby mógł ich szybciej złapać, ale widząc że Mati nadal stoi w tym samym miejscu i bacznie w coś się wpatruje, ruszyły w jego stronę.



Matiego zainteresowało dziwne wgłębienie w trawniku, które nagle się tu pojawiło. Wyglądało to jak miękka pierzynka z trawy, która lekko jak chmurka coraz głębiej chowa się pod ziemię. Chłopiec zwrócił uwagę na pracę młota pneumatycznego przy ulicy i skojarzył, że to pewnie on wywołując drgania spowodował, że trawnik się zapada. Spojrzał w stronę mamy i cioci, które widząc zaniepokojonego chłopca, wstały z ławki i zaczęły przywoływać dzieci.

Mati instynktownie poczuł niebezpieczeństwo i krzyknął:

- Max, Oliwia, nie podchodźcie tutaj, uciekamy!

Jadnak rozbawione Maluchy zupełnie nie rozumiały o co mu chodzi i nadbiegały z przeciwka.

Mati, stojący po drugiej stronie szybko tworzącej się dziury w ziemi chciał ją obieć i powstrzymać Maluchy.

Skręcił wózkem i zdążył zawołać:

- Uciekajcie!- kiedy ziemia z wielkim łoskotem zaczęła się zapadać, wciągając dzieci w otchłań ciemności.

W tym momencie na ułamek sekundy zapadła głucha cisza, którą przewał przeraźliwy, pełen rozpaczny krzyk matek.

Wszystko wydarzyło się tak szybko, że chociaż wokół byli ludzie, to jednak nikt nie zdążył zareagować. Wszyscy zamarli z przerażenia.

- Dzieci... - szeptali - porwało dzieci...

Wśród śpiewu ptaków i łagodnego powiewu wiosennego wiatru słycać było tylko łoskot nadal osuwającej się ziemi.

Nagle ucichło, a ziemia jakby wypełniając swoją miarę, zatrzymała się i przestała zsypywać.

Przerażone matki nawoływały dzieci i błagały ludzi o pomoc.

Rzuciły się w zapadlinę i rękoma zaczęły odkopywać ziemię.

Przybiegli robotnicy, przechodnie i powstało wielkie zamieszanie.

Ludzie otaczali zawalisko, odciągali oszalałe z rozpaczny matki.

Ktoś próbował zaprowadzić porządek i odsunąć gapiów od niebezpiecznej strefy, ktoś dzwonił po pomoc, inni do swoich bliskich i znajomych żeby przekazać, czego byli świadkami. Panował ogólny chaos.

Rozpacz i bezsilność zawisły nad wielką jamą, która pochłonęła dzieci.

## Rozdział II – W potrzasku

**D**zieci spadały w czarną pustkę popychane zwałami ziemi, a nad nimi zamykało się sklepienie i gasł ostatni promyk słońca. Spadały w wielką dziurę, która po chwili zmieniła się w wąski lej. Leciwały na mokre i skaliste dno jamy. W pewnym momencie wózek, w którym leżała przerażona Maja zablokował się w gardle leja i zwały ziemi zaczęły zasypywać krzyczące dziecko, ale siła napierających grud przepchnęła wózek i Maja nie wypadając z niego opadła na dół. W tej chwili ziemia zablokowała się w szczelinie skalnej i przestała opadać.

Najbardziej ucierpiał Mati, ponieważ spadł pierwszy uderzając plecami o twarde, kamieniste podłoże. To jednak ochroniło Maluchy, które spadły na niego. Było ciemno i zimno, i przerażone dzieci nie uświadamiały sobie nawet do końca tego, co się stało.

Mati w każdej części ciała czuł ogromny ból i płakał nie mogąc się ruszyć.

Max i Oliwia trzymali się go kurczowo wołając:

- Mama, mama....ja chcę do mamy!

Majusia miała wiele szczęścia, ponieważ kiedy ziemia zablokowała lej i zaczęła przygniatać dziecko, przesunął się dach wózka i nieco powstrzymał napór ziemi, chroniąc dziewczynkę.

Maja miała przykryte kocem nóżki i ten zsunął się jej na buzię ratując przed zaduszeniem ziemią, a na koniec - nie wypadła z wózka pomimo mocnego uderzenia wózka o podłoże.

Siła odrzutu przy uderzeniu o podłoże jamy do której spadli, wyrzuciła ziemię z wózka i odsunęła koc z twarzy dziecka, dzięki czemu Majusia mogła normalnie oddychać.

Dzieci długo płakały wzywając pomoc, ale nikt ich już nie słyszał.

Mati obudził się pierwszy i zauważył, że nie ogarnia ich już ta nieprzenikniona ciemność, ale jakiś szklisty półmrok. To dodało mu odrobinę otuchy.

Bazaltowe ściany jamy w której się znajdowali, ociekające miejscami błotem, dawały granatowe, połyskujące światło.

Po chwili obudzili się Oliwia i Max, i tuląc się do Matiego płakali wołając swoje mamy. Mati też czuł łzy spływające gęstą strugą po policzkach i prosił w duchu:

- Mamusiu przyjdź i zabierz nas do domku....
- Mamusiu, tatusiu gdzie jesteście! - wołały dzieci szlochając, a ich serduszka pękały z przerażenia.

Mijał czas i nadal trwała cisza, nie było słyhać kompletnie nic, jakichkolwiek

odgłosów, które wskazywałyby na to, że dzieci są poszukiwane i za chwilę nadejdzie pomoc.

Mati zapadł w zadumę. Patrząc zapłakanymi oczyma w ciemność tulił do siebie Maluchy, które rozpaczając prosiły:

- Pić, mama pić...

W tej chwili obudziła się Majusia popłakując coraz bardziej.

Do Matiego zaczęła docierać straszliwa rzeczywistość....rodziców tutaj nie ma i w tej chwili nikt im nie pomoże!

To przecież on jest najstarszy i to on musi zaopiekować się dziećmi!

Mati miał dwanaście lat, Maluchy po cztery lata, a Majusia roczek.

Chłopiec pocieszał się myślą że przecież to nieszczęście długo nie potrwa,

gdyż rodzice i ciocia z wujkiem zrobią wszystko, żeby ich jak najszybciej uwolnić.

Jednak kiedy tylko spojrzał w górę na straszliwe zwały czarnej masy zatykającej lej, która do tego wyglądała tak, jakby za chwilę ponownie miała runąć w dół, serce było mu mocniej, a strach zaciskał gardło.

Pomału wstał, wyjął Majusię z wózka i usiadł na kamieniu, a Maluchy natychmiast do nich przyłgnęły. Przytulił dzieci i powiedział po cichu:

- No już dobrze... nie płaczcie...Mati jest z wami....niedługo znajdą nas rodzice i wszystko będzie dobrze...no cichutko, już dobrze, dobrze... bardzo was kocham i będę się wami opiekował z całych sił...

Dzieci jeszcze mocniej przytuliły się do Matiego i w końcu przestały płakać prosząc tylko:

- Pić, Mati daj pić...

Chłopiec bezradnie rozejrzał się wokół, też czuł ogromne pragnienie i chociaż bardzo się bał, powiedział:

- Maja przytul Oliwię i Maxa, a ja rozejrzę się - po czym wstał pojękując i kiedy próbował się przeciągnąć i wyprostować, zobaczył kilka metrów dalej docierające ze ściany, jaśniejsze światło.

Ostrożnie stawiając stopy i przesuując dłoń po bazaltowej ścianie, szedł w kierunku światła. Już po kilku krokach jego oczom ukazał się jasny korytarz , po ścianach którego wąskimi strużkami spływała woda.

- Max, Oliwia, Maja, chyba znalazłem wodę do picia! - zawołał głośno wracając po dzieci.

Maluchy zerwały się na nogi podtrzymując nie mniej zaciekawioną Maję.

Mati wziął na ręce Maję, a Maluchy wózek. Weszli w korytarz i zdziwieni tym odkryciem rozglądali się dookoła.

- Może tu jest jakieś wyjście na górę?!- głośno zastanawiał się Mati.
- Napijmy się – zdecydował - i pójdziemy się rozejrzeć.

Dzieci już przykładają usta do wody, gdy Mati ostrzegł:

- Zaczekajcie! Może najpierw ja spróbuję....

Maluchy natychmiast odsunęły się wystraszone, a Mati nabierając na język kilka kropel wody, czekał aż roz płyną się w ustach.

- Dobra w smaku!- powiedział – chyba możemy się napić.

Dzieci rzuciły się w stronę ściany i naśladując Matiego wsysały spływające strużki wody, połykając łąpczywie. Maja była zbyt mała żeby napić się samodzielnie, więc Mati natychmiast ruszył z pomocą.

- Majusiu zaczekaj, w wózku powinna być twoja butelka - powiedział niepewnie biorąc pod uwagę fakt, że mogła wypaść podczas spadania.

Wyjmował rzeczy z wózka wytrzepując przy okazji ziemię, której było jeszcze sporo. Pod poduszką znalazł butelkę.

- Jak dobrze, że nie wypadła – pomyślał.

Butelka była prawie pełna napoju i dziewczynka napiła się do syta.

Mati ułożył wszystko w wózku i wsadził zadowoloną Maję.

- A teraz się rozejrzyjmy - postanowił – tylko trzymajcie się wózka i nigdzie nie odchodźcie!

Maluchy bez sprzeciwu wykonały polecenie.

Korytarz był dość szeroki i z ich prawej strony, na przeciwległej ścianie do tej z której spływała woda, dość ciemny. Kiedy podeszli bliżej zauważyli, że na całej długości korytarza strop jest ścięty i tworzy skos, aż do podłoża. Natomiast kilkanaście kroków przed sobą dzieci spostrzegły otwór w ścianie skalnej tworzący wyjście, które dawało takie wrażenie jakby było oświetlone. Była to jedyna droga, gdyż tak samo w jamie do której spadli, jak i w korytarzu, wokół otaczała ich lita skała.

Kiedy doszli do otworu w ścianie skalnej, zobaczyli ogromną grootę.

Była zadziwiająco piękna. Miała kształt kuli. Nie była oczywiście tak gładka, ani idealna jak kula, ale stojąc u wejścia, dzieciom wydawało się jakby wchodziły do wielkiej bańki mydlanej, której ściany postrzępione są przez wystające odłamki skał, a miejscami udekorowane półokrągłymi półkami skalnymi, mieniącymi się wszystkimi barwami na palecie kolorów.

Grota była tak olbrzymia, że nie było widać jej końca.

Dzieci pomału posuwały się do przodu, co jakiś czas wydając okrzyk zachwytu.

- Zobacz, zobacz Mati jakie to piękne!- zachwycła się Oliwia podziwiając

strukturę ściany, obok której przechodzili.

- Zobaczcie! - kontynuowała – to jakieś ogromne brylanty!
- Mati, możemy dotknąć? - pytał równie zauroczony Max.
- No nie wiem...- wahał się Mati – no dobrze, tylko ostrożnie! - zgodził się w końcu niepewnie.

Mati postawił przy ścianie także Maję, która usilnie domagała się uczestniczenia w zwiedzaniu groty, a do tego chciała już wydostać się z wózka.

Dzieci dotykały powierzchni, która choć na pozór wydawała się ostra i kanciasta, to jednak po dotknięciu okazała się gładka jak jedwab i delikatna jak aksamit. Biło od niej tak jasne światło, że było widno prawie tak, jak w dzień na Ziemi.

Teraz cała gromadka przeszła na drugą stronę groty, gdzie utworzyły się półki skalne tak doskonale równe, jakby zostały wykonane specjalistycznymi narzędziami przez najświetniejszych kamieniarzy.

Każda z półek miała inny odcień i nieco chropowatą strukturę.

Max i Oliwia zaczęli się wspinać. Najpierw szmaragdowa, następna rubinowa, kryształowa, szafirowa i kolejne - ametystowe, turkusowe, koralowe, aż po samo bardzo wysokie sklepienie, gdzie z tej odległości nie było już można dojrzeć pojedynczych kolorów, a tylko mieniącą się niesamowitymi barwami tęczę.

Półki ciągnęły się od podłoża poprzez ścianę, aż daleko, daleko wślizgując się na strop. Miejscami powstał prawie saturiański krajobraz, którego piękno zapierało dech w piersiach.

Mati nagle opamiętał się:

- Hej, Maluchy, schodźcie stamtąd natychmiast! Chcecie pospadać i zrobić sobie krzywdę?!

W innych okolicznościach Maluchy na pewno nie posłuchałyby Matiego, teraz jednak westchnęli tylko i pomału zaczęli schodzić w dół.

Wrócili znowu na drugą stronę groty, bo jednak tamtędy prowadziła łagodniejsza i mniej wyboista droga.

Właśnie skończyła się brylantowa ściana, kiedy ujrzeli inny, równie niesamowity widok.

Za krótkim odcinkiem zwykłej, kamiennej powierzchni ściany zobaczyli owalne, zielonkawe, tej samej wielkości kamienie, którymi jakby ktoś wyłożył powierzchnię. Widok był oszałamiająco piękny. Pod zielonymi, świecącymi kamieniami spływała woda, malując obrazy łagodnych fal i kolistych zamieci, mieniąc się przy tym wszystkimi możliwymi odcieniami jasnej, ciepłej zieleni.

Woda która płynęła pod kamieniami nigdzie jednak nie rozlewała się, a spokojnie i ospale spływała do wąskiej kamiennej rynienki tuż przy podłożu, skąd odpływała w nieokreślonym kierunku, znikając gdzieś pod ziemią.



Dzieci zafascynowane tym przepięknym, zmieniającym się krajobrazem, na długi czas zapomniały o swoim położeniu i o tym przez co przeszły w ciągu ostatnich godzin.

Wędrowali już tylko jedną stroną groty, ponieważ dalej w innych miejscach, podłóże było zbyt nierówne, a do tego naszpikowane odłamkami skalnymi.

Szli bardzo wolno, gdyż nadal otaczało ich tyle piękna, że nie sposób było przejść obok niego obojętnie. W oddali, w tej części groty do której nie mieli dojścia, miały miejsce niewiarygodne zjawiska.

W pewnym momencie zobaczyli u sklepienia stropu tworzącą się ognistą spiralę, która zaczynając od małego, prawie niewidocznego punktu, kręciła się powoli rozrastając do kilkunastu metrów średnicy.

Na krótki moment zatrzymywała się w całej swojej okazałości, jakby chciała żeby można ją podziwiać i nasycić się tym cudownym widokiem, aż w końcu kręcąc się coraz szybciej zwijała się i malała do poprzedniej wielkości, by po chwili zacząć wszystko od początku.

Już po kilkunastu metrach przebytej drogi, dzieci zobaczyły w oddali spływającą po ścianach wzburzoną, różową pianę, która co jakiś czas wypluwała z siebie połyskujące srebrem kamyki o nieregularnych kształtach, przypominające nieco gwiazdy. Kamyki opadając na podłóże strzelały srebrnymi iskrami i upadając gasły.

Przemierzając grotę minęli niesamowite miejsce strumieni wodnych.

Woda cienkimi strugami wypływała z otworów w stropie i części ściany z ogromną prędkością i wpadała gdzieś do otworów w podłożu. Najciekawsze w tym zjawisku było to, że woda ze stropu wpadała idealnie prostopadle w otwory w podłożu, tworząc na kilka chwil wodny sznurek łączący strop z podłożem, o kształcie klatki dla papug, którą opryskiwała woda ze ścian. Po kilkunastu sekundach woda wracała na miejsce i można by powiedzieć że odpoczywała, po czym w ten sam sposób pojawiała się znowu. Zaskakujące było również to, że nawet jedna najmniejsza kropelka nie spadła nigdzie obok.

Dzieci szły coraz wolniej. Majusia chociaż zdążyła już nawet przespać się w wózku, zaczęła jednak marudzić. Mati próbował coś jej opowiadać, kołysał wózkiem, ale nic nie pomagało. Wziął ją więc na ręce i dopiero wtedy się uspokoiła.

Maluchy też już narzekały, że bolą ich nóżki i nie mają siły dalej iść, a i Mati poza zmęczeniem czuł bardzo uciążliwy ból. Zaproponował więc postój.

Zatrzymali się i zaczęli rozglądać za miejscem, gdzie można by chociaż usiąść, ale nigdzie nie było nawet kawałeczka gładkiej powierzchni, na której mogliby zmieścić się razem.

- Mati, a gdzie my usiadziemy? - zaczął Max.
- A gdzie będziemy spali? - dorzuciła Oliwia.